# Nadmorski ogród

DEBORAH LAWRENSON

# 1

# Przeprawa

*Niedziela, 2 czerwca 2013 r.*

Wyspa majaczyła w oddali. Smużka lądu na wodzie. Przeprawa z portu w La Tour Fondue do Porquerolles miała zająć zaledwie kwadrans.

Ellie Brooke wystawiła twarz do słońca, chłonąc jego ciepło. W to późne popołudnie na pokładzie promu, na którym zajęła wygodne miejsce z przodu, poza nią było niewielu pasażerów.

Młody człowiek stał twarzą do niej, plecami do relingu. Zwróciła na niego uwagę ze względu na T-shirt, który miał na sobie. Wywalony język członka grupy heavymetalowej miał być prowokacją, ale w zestawieniu z tym nadrukiem chudy, jasnowłosy właściciel koszulki wydawał się jeszcze bardziej wątły i niegroźny.

Maszyny zazgrzytały i prom ruszył naprzód w roziskrzone fale, nabierając szybkości wśród słonej morskiej bryzy. Wyspa rysowała się już wyraźnie, gdy chłopak przełożył nogi przez barierkę, rozłożył szeroko ramiona i osunął

się w dół po burcie. Stało się to cicho, szybko i niespodziewanie. Nie tylko Ellie zeznała później, że w pierwszej chwili miała wrażenie, jakby to się jej przywidziało. Nie rozległ się żaden plusk spienionej wody przy kadłubie promu.

Być może ich krzyki o parę sekund za późno dotarły do załogi i nie dość szybko wyłączono silniki. Młody człowiek spadł za blisko burty, nie miał szans. Jak stwierdzono później, kiedy tylko znalazł się w wodzie, musiało go wessać pod spód w kierunku obracających się śrub.

Jednak wtedy, w ciszy, która zapadła, gdy silniki stanęły, a prom dryfował, wydawało się całkiem prawdopodobne, że zaraz zostanie wyłowiony. Kaszlący, kulący się ze wstydu, że zawiodły go jego chude jak patyki nogi i ręce i że wyciął tak idiotyczny numer. Ktoś rzucił nawet koło ratunkowe.

Na pokład wylegli pasażerowie siedzący dotąd w części zadaszonej. Wyglądali za burtę, pytali, czemu silniki nie pracują. Trzymali się blisko jeden drugiego, chcieli pomóc, ale jednocześnie bali się przeszkadzać załodze, która wszczęła procedury ratunkowe.

Ellie za słabo znała francuski, by rozumieć dokładnie, co mówiono, ale było jasne, że para w średnim wieku z jazgotliwym pieskiem, mężczyzna z teczką i starsza pani dyskutują ze zgrozą, jak młody człowiek mógł zrobić coś takiego. Szczególnie oburzał się pan z teczką. Mężczyzna w panamie i luźnej białej koszuli trzymał się na uboczu, powstrzymując się od komentarzy.

– Widział pan, co się stało? – spytała go po angielsku w nadziei, że zrozumie.

– Tak.

– Stał jakby nigdy nic. Nie sprawiał wrażenia, że dzieje się z nim coś złego. A chwilę potem już go nie było.

– Okropne.

– Czy to wypadek, czy…

– Przeszedł przez reling.

Znad wody dobiegały teraz jakieś krzyki, ale nie było to wołanie o pomoc.

– Niech pani nie patrzy – powiedział mężczyzna.

Odwróciła głowę. Jasne, podświetlone słońcem żagle sunęły po szafirowym morzu. Mały samolot zostawiał za sobą białą linię na niebie.

Fale uderzały o burtę. Do szalupy ratunkowej dopłynęła łódź policji. Zaskrzeczały megafony. Opadająca kadencja rozmów na pokładzie świadczyła o tym, że irytacja opóźnieniem zeszła na plan dalszy. Pasażerowie zrozumieli, co się naprawdę stało. Poraził ich pierwotny lęk. Historia stara jak świat, człowiek stracił życie na morzu.

Przypomniała sobie informację, że sto lat wcześniej prom wzywano do powrotu sygnałem dymnym – rozpalano stos żywicznych liści i gałązek przed kawiarnią na końcu półwyspu Presqu'île de Giens. Lubiła wyławiać takie szczegóły, przygotowując się do podróży. Teraz nowoczesna niewidoczna sygnalizacja sprowadziła ratowników w ciągu kilku minut.

Ellie wstała i podeszła do relingu. Nie po raz pierwszy zastanowiła się, po co tu w ogóle przyjechała.

* * *

Po przybyciu na wyspę czekały ją jednak bardziej pilne pytania ze strony szefa zarządu portu i dwóch policjantów, którzy weszli na pokład, kiedy tylko prom dobił do brzegu. Jej pierwsze wrażenia ze słynącej z piękna Porquerolles zakłócił szok i poczucie straty. Z nadmorskiej promenady wabiły przybyszy subtropiki z kołyszącymi się oleandrami i palmami, ale przed zejściem na ląd wszyscy musieli się wylegitymować i podać dane kontaktowe. Czy w tym młodym człowieku dostrzegła coś szczególnego? Wydawał się niespokojny, zdenerwowany? Trudno jej było przyznać, że więcej uwagi poświęciła wulgarnemu nadrukowi na koszulce niż temu, kto ją miał na sobie.

Pokazała porucznikowi Franckowi Meunierowi, gdzie siedziała i gdzie mniej więcej stał tamten młody człowiek.

– Czy krzyczał, kiedy spadał?

Krótko ostrzyżony policjant patrzył przenikliwie. Opanowany, silny. Z bliska widać było, że nie jest aż tak młody, jak się zdawało, kiedy wchodził na pokład. Dobrze mówił po angielsku, choć z mocnym francuskim akcentem.

– Nie. W każdym razie nie słyszałam, żeby coś powiedział.

– Czy się pocił? Może był po narkotykach? Widziała pani jego oczy?

– Byłam za daleko. Nie wiem.

Od białych i srebrzystych masztów łodzi zacumowanych w marinie ciągnącej się aż do miejsca, gdzie zatrzymał się prom, słychać było pobrzękiwanie metalowych części takielunku na ciepłym wietrze. Nabrzeże robiło wrażenie

dużo bardziej egzotycznego niż to, z którego przypłynęli, jakby te dwa miejsca dzieliło o wiele więcej niż ledwie parę kilometrów.

– Gdzie się pani zatrzyma na wyspie?

– W hotelu na Place d'Armes.

– Którym?

Wyciągnęła kartkę z torby przewieszonej przez ramię i podała, niepewna, jak wymówić nazwę.

– L'Oustaou des Palmiers – przeczytał policjant.

Skinęła głową.

– Pani na urlop?

– Nie, w sprawach służbowych.

Zmarszczył brwi, pocierając swojego jeżyka. Musiał strzyc się niedawno.

– Jakich?

– Zajmuję się projektowaniem ogrodów. Mam jutro obejrzeć ogród i poznać ewentualnego klienta.

Gdyby nie zależało jej tak bardzo na wykazaniu, co potrafi, już parę miesięcy temu odrzuciłaby tę karkołomną propozycję. Jest tylu innych architektów krajobrazu, którzy mają lepsze kwalifikacje, by zająć się odrestaurowaniem ogrodu na śródziemnomorskiej wyspie, specjalistów mających doświadczenie w pracy w suchym, gorącym klimacie, na skalistym podłożu, dobrze obeznanych ze specyfiką francuskiej riwiery. Oni wydawaliby się oczywistymi kandydatami. Jednak wiosna w Anglii była tak ponura. Słońce pokazało się na chwilę w marcu, a w kwietniu całkiem się schowało. Tygodnie szarugi i deszczu ciągnęły się niezno-

śnie. To był naturalny odruch – uciec. Najpierw do Londynu, skąd poleciała dalej, do Hyères. Bliżej ciepła i światła. Oczywiście samo zadanie też ją zaciekawiło, a warunki zaproszenia były pochlebnie korzystne.

– Kto jest tym klientem?

– Laurent de Fayols. W Domaine de Fayols.

Porucznik Meunier zastanowił się chwilę, po czym przerzucił swoje notatki.

– Kiedy zauważyła pani, że tamten mężczyzna podchodzi do barierki?

Wydawało się, że to trwa wiele godzin, kiedy uwięziona na nieruchomym promie dawała odpowiedzi, które nie mogły nic wyjaśnić ani nikogo uratować. Z doku widziała jasne plaże i niewysokie zielone wzgórza usiane czerwonymi dachami domów. Fort nad przystanią wyłaniał się niczym kamienna pięść spośród drzew. Blask słońca był oślepiający.

Wreszcie pozwolili jej iść. Otarła dłonią czoło i popatrzyła na informacje i mapę przed biurem turystycznym przy przystani. *Średnia temperatura w czerwcu dwadzieścia stopni* – przeczytała. Czerwiec dopiero się zaczynał, dochodziła siódma wieczorem, ale chyba było cieplej. Znużona ruszyła w kierunku Place d'Armes. Kółka jej torby obciążonej laptopem, segregatorem pełnym szkiców i skserowanych materiałów ze starych książek terkotały po bruku.

To był szeroki, pokryty pyłem plac, nad którym dominował kościół w stylu hiszpańskim. Trzy pozostałe strony obsadzono eukaliptusami. Szereg sklepików i restauracji

osłonięty był markizami. Powoli, to w ostrym świetle słońca, to w cieniu, obeszła plac, kierując się ku budynkowi na jego odległym krańcu. Wydawało się, że to hotel, ale nie, nie był to Oustaou des Palmiers. Nigdzie nie było go widać. Same wejścia do domów mieszkalnych, galerie, sklepy z pamiątkami, jakiś bar, w którym pewnie później zrobi się tłoczno, a przed którym ćwiczył teraz gitarzysta jazzowy. Brnęła więc dalej, mijając stragany z owocami, pełne arbuzów, jabłek, truskawek, bananów i ananasów, aż dotarła niemal z powrotem w to samo miejsce, skąd zaczęła. I dopiero wtedy zorientowała się, że przegapiła hotel, który znajdował się tuż obok. Szyld schował się pod czerwoną markizą i gęstymi pnączami, ocieniającymi nakryte do kolacji stojące na zewnątrz stoliki.

W środku znajdowała się recepcja wciśnięta w kąt pod schodami.

– Jestem Jean-Luc – przedstawił się młody człowiek, który wyglądał jak student wybierający się na plażę. Luźno puszczona rozpięta koszula odsłaniała gładką nagą pierś. Podał klucze bez zadawania sobie trudu z formalnościami. – Gdyby pani czegoś potrzebowała, proszę przyjść i mnie poszukać.

Na szczęście nie zapytał, jak minęła jej podróż.

– A właśnie, mam tu dla pani wiadomość – rzucił z uśmiechem, rozglądając się po ciasnej przestrzeni za kontuarem. Najwyraźniej nie bardzo pamiętał, gdzie ją odłożył. – O, jest!

Z triumfem podał jej odnalezioną kopertę.

– Dziękuję.

– Zaprowadzę panią na górę.

Złapał jej torbę, jakby to było piórko, i ruszył pędem po schodach.

Pokój prezentował się lepiej, niż to sobie wyobrażała – prosto urządzony, z widokiem na port. Jean-Luc w podskokach, jak to młodzi, bardzo sprawni ludzie, pokazał jej regulowanie klimatyzacji i małą łazienkę. Kiedy wyszedł, otworzyła na oścież okno i stała chwilę, starając się jakoś połączyć to, co się stało, z obrazem zakotwiczonych kołyszących się na wodzie łodzi i białych żagli sunących po falach w oddali. Zdjęła buty i poszła boso po gołych wypolerowanych deskach podłogi.

Rozejrzała się za otrzymaną kopertą i znalazła ją na toaletce. Zaadresowaną piórem wiecznym, zamaszystym, ale eleganckim charakterem pisma. Już dawno nie dostała listu pisanego piórem wiecznym. A właściwie w ogóle czegokolwiek pisanego ręcznie. Wszystko to sprawiało, że odnosiła coraz mocniejsze wrażenie, jakby na tej wyspie cofnęła się w czasie. Wyciągnęła kartkę z koperty. Nadal jeszcze lekko drżały jej dłonie.

*Cieszę się bardzo, że dotarła Pani bezpiecznie na miejsce* – przeczytała. – *Zapraszam jutro rano do Domaine de Fayols. Przyślę kogoś po Panią. Życzę miłego pierwszego wieczoru na naszej cudownej wyspie.*

*Z serdecznymi pozdrowieniami,*

*Laurent de Fayols*

Dlaczego on to zrobił, ten chłopak w T-shircie? Jakie problemy psychiczne, choroba czy tragedia go do tego skłoniły? Tak cicho, niepostrzeżenie przeszedł przez reling i zniknął. Czy naprawdę zamierzał się zabić, czy tylko chciał zwrócić na siebie uwagę?

Snute w samotności rozważania w hotelowym pokoju nie mogły przynieść ukojenia. Włożyła do torby aparat fotograficzny i wyszła. Od placu odchodziła stara wybetonowana uliczka. Krusząca się nawierzchnia pokrywała pyłem sandały. Ellie spacerowała między sosnami i meksykańskimi cyprysami, dość wysokimi, by stłumić wszelkie dźwięki, które mogłyby tu docierać z zewnątrz.

Nawet w chwilach najczarniejszej rozpaczy nigdy nie myślała, żeby się zabić. Nawet w tamtych potwornych tygodniach po śmierci Dana, kiedy próbowała się jakoś uporać ze stratą. Jej praca to było życie – pielęgnowanie roślin i optymizm nierozłącznie związany z planowaniem ogrodów, które dopiero po długim czasie, nawet kilkudziesięciu latach, mogły spełnić zamierzoną wizję. Było jej bardzo ciężko, ale przekształciła rozpacz w determinację. Stała się też niezależna. Nauczyła się polegać na samej sobie. Rzuciła się w wir pracy, inwestując w życie. Ale może inni ludzie nie potrafią odnaleźć w sobie dość siły czy odpowiednika jej bukowych alejek i formowanych pieczołowicie klombów.

Na rozwidleniu stał znak wskazujący drogę na Plage d'Argent. Zapach sosen wzmocniony wilgotnym upałem mieszał się z morską słoną bryzą. Danowi bardzo by się tu podobało. Porquerolles, wyspa dziesięciu fortów. Pracował

dla wojska i fascynowało go wszystko, co wiązało się z militariami. Po policzku spłynęła jej łza. Nie ma go już, powiedziała sobie po raz tysięczny. Trzeba pozwolić mu odejść. Tak samo jak sobie samej ruszyć dalej, naprzeciw temu co nieznane.

Morze łaskotało biały piasek. Stała sama, pogrążona w myślach, a delikatne fale układały na brzegu koronkowe wzory z muszelek.

# 2

# Domaine

*Poniedziałek, 3 czerwca*

W porannym słońcu Place d'Armes ział pustą białą przestrzenią. Jedyny ruch ograniczał się do sklepików i kawiarni pod drzewami. Ellie kupiła sobie w najbliższym kiosku przewodnik i dużą mapę i usiadła na niskim murku w cieniu, by ją rozłożyć. Kiedy nie udało się jej od razu zlokalizować Domaine de Fayols, wpadła w bezsensowną panikę. Ale po chwili znalazła tę posiadłość, zaznaczoną na południowym krańcu wyspy, blisko zatoki i latarni morskiej. Do tej pory musiała wierzyć na słowo Laurentowi de Fayols, że to miejsce w ogóle istnieje, że je tu zastanie.

O dziesiątej czekała pod hotelem. Na wyspie ruch samochodowy nie był dozwolony. Mijali ją głównie ludzie na rowerach – rozchwierutanych, skrzypiących, sfatygowanych pojazdach o niewiadomym przebiegu i historii. Musiały być używane przez niezliczoną rzeszę turystów podczas niezliczonych już wakacji. Jedyną alternatywą była bryczka. Ellie patrzyła, jak woźnica zeskakuje z kozła i wbiega do hotelu.

Po paru minutach pojawił się z powrotem. Towarzyszył mu Jean-Luc, który pomachał do niej.

– To on zawiezie panią do Domaine de Fayols.

Woźnica podał jej rękę i pomógł usiąść na miejscu obok siebie. Zgrubiała, spracowana dłoń była szorstka w dotyku. Cmoknął i zamruczał coś do starej kobyły, muskając jej bok batem. Ruszyli, kołysząc się wysoko nad drogą. Koła wzbijały pył, który snuł się za podskakującą na wybojach bryczką. Ellie mocno przyciskała do siebie torbę i foldery.

Żadne z nich się nie odezwało. Woźnica patrzył przed siebie. Karłowate wiecznie zielone krzewy wydzielały mocny zapach żywicy i miodu. Sosnowy las ustępował miejsca spokojnie opadającym na południe winnicom. Ciszę zakłócały jedynie cykady wczesnego lata. Siedząc wysoko na koźle, Ellie rozglądała się dokoła, ciekawa, jakie rośliny w sposób naturalny dobrze się tu rozwijają.

To dzikie, romantyczne okolice – pisał jej Laurent de Fayols. Całą wyspę kupił w prezencie ślubnym dla żony pewien człowiek, który zrobił fortunę na kopalniach srebra w Meksyku. To jeden z trzech skrawków lądu na Morzu Śródziemnym zwanych Złotymi Wyspami, od pomarańczy, cytryn i grejpfrutów, które połyskują jaskrawo w gajach cytrusowych.

Po angielsku niewiele można było znaleźć na temat tego miejsca poza zdawkowymi informacjami, a to, do czego dotarła, zostało napisane dawno temu. Najciekawsza była dziennikarska relacja Adolphe'a Smitha z 1880 roku. Ellie

urzekła uroda jego opisu *najbardziej wysuniętego na południe punktu francuskiej riwiery*.

> *Wyspę tworzy siedem pasm niezbyt wysokich wzgórz. Pomiędzy nimi leżą doliny, którymi można wędrować osłoniętym od wiatru szlakiem w cieniu pinii. Ich zapach miesza się z aromatem tymianku, mirtu i tamaryszku.*

Wciągnęła głęboko powietrze.

* * *

Zjechali z drogi na trakt wiodący między cyprysami i wkrótce dotarli do podjazdu przed domem. Pośrodku kręgu lawendy rosło wiekowe drzewo oliwne. Po obu stronach domu wartę pełniły wysokie sosny, eukaliptusy i kolejne cyprysy.

– *Ici, la Domaine* – powiedział woźnica.

– *Merci*.

Ellie ujęła jego szorstką dłoń i ostrożnie zsiadła z kozła. Fasada dwupiętrowego, krytego tradycyjną dachówką domu wyłożona była jasną terakotą. Na jej tle odcinały się jaskrawym błękitem okiennice. Z ocynkowanych donic ustawionych na schodach prowadzących do wejścia wznosiły się kule przystrzyżonego bukszpanu.

Właśnie zaczynała się rozglądać, kiedy pojawił się gospodarz. Schodził po niskich stopniach, wyciągając do niej dłoń. Laurent de Fayols był pewnie po sześćdziesiątce, niespecjalnie wysoki, ale szczupły i elegancki, o ciemnych

piwnych oczach. Od razu wiedziała, że będą bardzo przekonujące.

– Proszę, proszę, droga pani Brooke, witam! Nareszcie zobaczy pani, o czym mówiliśmy.

Jego entuzjazm nie był udawany. Opalona twarz wyglądała młodo pod markowymi okularami przeciwsłonecznymi, które przesunął na czubek głowy. Pomimo upału miał narzucony na ramiona jaskrawożółty sweter.

– Nie mogę się doczekać.

Poprowadził ją do domu, przez hol i dalej w głąb przez główne pomieszczenia. Kilka chwil ciemności i znaleźli się na szerokim tarasie z jasnego kamienia. Oślepiona słońcem, zmrużyła oczy i dopiero po chwili ukazała się jej promienna panorama nieba i morza obramowana palmami i piniami o rozłożystych koronach.

Ellie od razu podeszła do balustrady. Płaski teren ścielący się niżej zdobiły uporządkowane klomby z oleandrami i kulkami strzyżonego bukszpanu, imitując na południowy sposób pełne świetności pałacowe ogrody. Leżący dalej ogród różany był pierwszym z serii utworzonych na coraz niższych poziomach, połączonych ze sobą cudowną bujnie rozrośniętą glicynią. Gęste szeregi cyprysów przesłaniały dalszy widok, w tym ogród pamięci, któremu miała poświęcić szczególną uwagę. W sumie roślinność była cudowna, wybujała, choć – z profesjonalnego punktu widzenia – bardzo zaniedbana.

– Potrzeba sporo pracy, *non*? – rzucił Laurent.

Odprężyła się nieco. Przynajmniej nie miał złudzeń.

A jego angielski był nawet lepszy, niż zapamiętała z rozmów telefonicznych.

– A teraz napije się pani ze mną kawy? Proszę!

Zmusiła się, żeby oderwać wzrok od przepięknego widoku. Jaskrawe światło podkreślało rysunek podzwrotnikowych kwiatów. Pręciki, żyłki, pulsowanie życiem.

Laurent de Fayols poprowadził ją przez taras za róg domu. Szedł szybkim krokiem niemłodego mężczyzny, który szczyci się dobrą formą.

– Ta strona wychodzi na zachód – wyjaśnił. – Siadujemy tu wieczorami.

Łuszczące się kolumny tworzyły obszerną loggię, kuszący zakątek. Jedną ze ścian porastał jaśmin. Na stole stały dzbanek z kawą, filiżanki i dzbanek wody z lodem, dalej leżała nieporządna sterta gazet, a na nich kilka starych tomów z metalowymi klamrami.

– I nawet stąd widać morze!

Miała wielką chęć w nim popływać, i to zaraz. Ogarniało ją dziecięce podniecenie, kiedy patrzyła na wodę tak czystą, że skały u stóp urwiska przypominały kiście turkusowych kwiatów rosnących na dnie morza.

– Tak, to miejsce zostało idealnie wybrane. Tam w dole to Calanque de l'Indienne. A to książka, o której mówiłem podczas naszej rozmowy telefonicznej.

Z wysiłkiem znów skierowała uwagę na swojego gospodarza. Popchnął w jej kierunku po blacie księgę rozmiarów atlasu geograficznego. Skórzana oprawa była porysowana, ale marmurkowe brzegi stron odznaczały się zadziwiająco

świeżą czerwienią i nie nosiły żadnych śladów zniszczeń. Był to album ze zdjęciami ogrodu – oraz tych, którzy go stworzyli. Osoby na fotografiach, stojące obok ciemnych łuków i bujnych krzewów, miały na sobie grube ubrania, jakby wcale nie było tu gorąco i wilgotno. Od czasu do czasu między pustymi kartkami trafiała na ususzone fragmenty roślin, które musiały tu trafić dawno temu. Kwiaty, niegdyś żywe, mocno pachnące i jaskrawe, zostały sprasowane i wyblakły. Jednak kształty zbrązowiałych, kruchych teraz płatków – paciorecznika, agapantu, róży – świadczyły o tym, że były niegdyś jędrne i soczyste.

Przyjęła podaną przez Laurenta kawę w małej filiżance o złoconym brzegu.

– To spore wyzwanie.

– Nie ufałbym komuś, kto by twierdził, że to będzie łatwa praca.

Obszedł stół i stanął obok niej.

– Tu widać ogród zaraz po jego założeniu w tysiąc dziewięćset czterdziestym siódmym roku, kiedy postanowiono uczcić w ten sposób pamięć doktora Louisa de Fayols. – Przerzucił kartki na właściwą stronę nożykiem z kości słoniowej. – A tutaj, kiedy po raz pierwszy zakwitł w tysiąc dziewięćset czterdziestym ósmym. Choć cyprysy są malutkie i nie ma jeszcze bukszpanów. Ale już dokładnie widać sposób jego rozplanowania.

To był reprezentacyjny ogród zaprojektowany wokół sadzawki obramowanej kamiennym murkiem, prostokątnego oczka wodnego, które na fotografii ziało czarną pust-

ką. Przy jego krótszym boku stała rzeźbiona ławeczka we włoskim stylu. Po drugiej stronie dwie porośnięte bluszczem rzeźby. Jedna przedstawiała zapewne Wenus, druga Merkurego, sądząc po skrzydełkach u kostek nóg. W rogach ogrodu umieszczono duże kamienne urny. Nie posadzono jeszcze żadnych kwiatów.

– To typowe dla tego okresu – zauważyła. – Kiedy na riwierze licznie osiadali zamożni obcokrajowcy, powstało wiele wspaniałych ogrodów. Przybysze chcieli tworzyć pod gołym niebem świątynie przepychu i wyobraźni.

– Jest pani bardzo wrażliwa.

Nie po raz pierwszy Laurent de Fayols wspomniał o jej wrażliwości. Odnotowała to w myśli. Czasem, kiedy klienci wspominali o jej zaletach, w gruncie rzeczy mówili o sobie samych.

– Ma pani też wyczucie historii – ciągnął. – Szanuje ją pani.

– Jeśli chodzi panu o ogród w Chelsea – rzuciła szybko, zdając sobie w pełni sprawę, że tak właśnie jest – to było coś całkiem innego. Taka współczesna impresja na temat tamtych czasów, nie odtwarzanie ich, rodzaj scenografii, można powiedzieć.

Ogród, który zaprojektowała na słynną wystawę kwiatów w Chelsea w Londynie, zdobył złoty medal. Wychwalany przez media, przyniósł jej więcej zamówień, niż była w stanie przyjąć, i sprowokował mnóstwo nieporozumień.

– Oczywiście. Wie pani, że nie oczekuję, by tutaj zrobiła pani coś podobnego. Przemówiły do mnie drobne elementy tamtego ogrodu wojny. Gramofon. Damska kurtka

zawieszona na łopacie wbitej w grządkę warzywną. Pognieciona fotografia żołnierza, pamiątkowa papierośnica.

Już otworzyła usta, by zaprotestować, kiedy ją uprzedził.

– Wiem. To nie projekt ogrodu, ale bardziej… rodzaj teatru. Jednak niech mi pani wierzy, zobaczyłem, że jest pani tą osobą, której szukałem. Młodą, ze świeżymi pomysłami.

– No, to jest sprawa zrozumienia danego okresu, odpowiedniego przygotowania. – Rzeczywiście, lubiła ten aspekt swojej pracy. – Przekopałam się przez dawne źródła dostępne w Bibliotece Narodowej, szukałam jakichś wskazówek, odniesień, ale jest ich bardzo mało. Najlepsze, co znalazłam, to opis oryginalnej roślinności tej wyspy w relacji podróżnika z epoki wiktoriańskiej.

Niewiele z tego wynikało, ale być może to przez *Delphinium requienii*, *Genista linifolia* i *Cistus porquerollensis* dała się zwabić i jest teraz tu, by dyskutować na temat tego zlecenia.

Zapatrzył się w dal, na ogród, gdzie olbrzymie egzotyczne paprocie drzewiaste, niczym zastygłe zielone fontanny, znaczyły ścieżkę prowadzącą aż na sam brzeg. Nie dałoby się zgadnąć, o czym myślał. Morska bryza poruszyła jaśminowe pnącza. Przez bliskość morza zapach był zniewalający, uderzał do głowy. Słone powietrze zmieszane z piżmową słodyczą. Ellie poczuła nagły przypływ wiary, że wszystko jest możliwe. Odnowienie ogrodu pamięci, odtworzenie roślinnych sklepień i ścian wiecznej zieleni, przywrócenie do życia ogrodu różanego.

Laurent przerzucił jeszcze kilka stron z fotografiami i zatrzymał się przy zdjęciu przedstawiającym przejście wycięte w żywopłocie, zwieńczone ogromnym łukiem.

– Niesamowite – wyszeptała Ellie.

– W południowej części ogrodu. Na pierwszej fotografii jeszcze tego nie było.

– Zachowało się do dziś?

– Częściowo… wszystko jest zapuszczone, ale mogę pani pokazać.

– Jestem bardzo ciekawa, co jest po drugiej stronie tego łuku. Przyciąga wzrok i człowiek ma ochotę wejść głębiej.

Postukał się palcem w nos i mrugnął do niej.

– Czyli jest pani zainteresowana?

Uśmiechnęła się, czując, że nawiązuje się pomiędzy nimi nić porozumienia. Taki był cel wstępnych spotkań z klientami – zrozumieć, co dokładnie chcieliby osiągnąć. Projektant ogrodu, jak architekt, powinien wcielać w życie marzenia zleceniodawcy. Żeby tak się stało, potrzebne jest zrozumienie, wyczucie wizji rysującej się w wyobraźni klienta, ale i coś jeszcze, o co nawet trudniej – osobista więź pomiędzy wykonawcą a klientem. To był podstawowy warunek sukcesu każdego projektu. Z kolei brak takiej relacji bardzo często zapowiadał porażkę.

Laurent poprowadził ją z powrotem na główny taras.

– Proszę przodem – powiedział, kiedy dotarli do pierwszej z dwóch kondygnacji szerokich kamiennych schodów prowadzących do reprezentacyjnego ogrodu na dole. Z bliska na przystrzyżonych w zygzakowate wzory bukszpanach

widać było zbrązowiałe listki, a krzaki nie wydawały się już wcale tak bujne.

W ogrodzie różanym ścieżka wyprowadzała wprost na masę fioletowych, przywiędłych już glicynii. Patrząc na to teraz z poziomu ogrodu, Ellie widziała, że formują one tunel prowadzący dalej. Sękate pnącza oplatały długą, w wielu miejscach zbutwiałą drewnianą konstrukcję. Na końcu ścieżki znajdowała się zielona polanka wielkości dużego pokoju, otoczona strzyżonym żywopłotem z mirtu. Ze wszystkich stron zwisały białe trąbki brugmansji, rozsiewając wokół lekko kawowy zapach.

– Nigdy jeszcze nie widziałam takiej kompozycji – powiedziała Ellie.

– Moja matka posadziła te byliny wiele lat temu. Księżycowe kwiatki.

– Znane też jako czarcie ziele.

– Albo trąby aniołów. W każdym razie tak mi mówiła.

Każdy ogród otwierał się na kolejny niczym w serii tajemnych komnat. Kamienne schody były tu trochę niebezpieczne, porośnięte bluszczem. Kiedy szli dalej, trafiali na coraz więcej przegniłych od wilgoci liści. Robiło się coraz chłodniej. Nie widać już było żadnych kwiatów.

– A oto i ogród pamięci.

Była to świątynia wiecznie zielonych, ciemnych – prawie czarnych – krzewów, wyrastających wśród rozrzuconych w mało artystycznym nieładzie połamanych kolumn i rzeźb. Postaci Wenus i Merkurego były nadnaturalnej wielkości. Merkury nie miał już skrzydełek, a jego kostki porastał mech.